

„Martwy pałac”

Drzewa przestały szumieć dawno temu. Teraz stoją tu tylko ich pokraczne kości, powykęcane gałęzie, zmarniałe ze starości i cierpienia. Gdzieś błyska pojedynczy liść, szary lub bury, jakby zgubił przed laty swoją radosną duszę.

Nagie konary nikną w górze, tam, gdzie kiedyś mogły być okazałe korony, gdzie teraz widnieje prześwit jasnego nieba. Nie jest ono wcale zachmurzone ani upiorne - całkowicie przejrzyste, bez ani jednej chmurki, niby wyprane z emocji.

Na jasnym, jednolitym niebie nie ma też słońca, uparte promienie usilnie mkną po lesie, lecz są to refleksy jakby przed wiekami wygasłej gwiazdy, która posyła już tylko rozpaczliwe wołania z drugiej strony nieba.

W lesie jest cicho. To tylko cisza tak brzęczy, że ludzki umysł roilby sobie odgłosy natury. One wymarły lata temu razem z tymi, którzy odeszli.

Rozległy las, przez który prowadzą tysiące ścieżek i śmiertelnych pułapek, skrywa w swym środku największy sekret. W centrum bowiem stoi strzelisty pałac, wyblakły, pokruszony, schowany przed oczami ciekawskich tak, by nikt nie naruszył wspomnień zaklętych w szarych drzewach i kamieniu. To żywy cmentarz – pełen pustych drzew i tych, które tylko udają drzewa.

Na dziedziniec wiedzie aleja posągów, pustych postumentów lub zniszczonych rzeźb bez rąk czy głów. Pałac otaczają fontanny, kanały i jeziora. W fontannach nie błyszczą choćby jedna kropla wody, wysuszone na popiół czekają kresu swoich dni, znoszą uparcie wszystkie krzywdzące pęknięcia. Zarosłe trawami – tylko dzięki pokracznym figurom z kamienia, trzymającym maleńkie czary w dłoniach, przypominają swe pierwotne użycie. Jeziora są jednak inne. Dzisiaj rozlały się w mokradła - duszące w swym wnętrzu pnie i korzenie roślin, zatapiające rozrzucone pomniki ze zszarzałego marmuru.

Tych niedostępnych kniei od tysięcy lat bronią drzewa, las jednak nie jest całkiem wymarły i opuszczony. Nieraz z gęstwiny wychynie drobna główka okolona jedwabnym włosem. Biała jak mgła, niknąca w powietrzu zwiewna istota. Gdy się porusza, nawet najcichszy szelest nie ucieknie spod jej bosych stóp. Tu nie rozbrzmiewa żaden dźwięk. Półprzezroczyste nimfy otwierają swe niegdyś różane usta, poruszają wargami, lecz nie wydostaje się z nich żadna pieśń. Żadna pieśń zdolna uzdrowić smutny, zraniony las.

Moczą delikatne stopy w gęstej wodzie, brodzą w niej po kolana i dotykają kory drzew. Obejmują pnie i niemo ronią lzy, znikające niezauważenie w smolistym bagnie. Patrzą nieraz tęsknie w stronę ogromnej budowli, lecz żadna nie ośmieli się przekroczyć jej progu. Z dala spoglądają na kruszejący mur pałacu, otulony zdrewniałymi łodygami bluszczu, na wybite okna sali balowej, gdzie wiatr hula cały rok, gdzie śnieg spada miękką pierzyną, zacierając ślady. Zniknął już dawno popiół, rozwiany w świat.

Widać stąd przewrócony tron i pozostawione ławy wraz z misami, kielichami. Widać żyrandol z kruszcu subtelniejszego niż kryształ, pleciony pajęczynami i tajemnicą, zdobiony kroplami łez, który po dziś dzień sennie odbija boleść i udrękę.

Nawet wiatr nie dźwięczy jego kryształkami, trwają nieporuszone, respektując prawa natury. Porządek ustalony przed wieloma stuleciami.

Melodię o jego złamanych zasadach nuci sama cisza...

Koła pojazdu turkotały, jadąc po utwardzonym bruku. Za nimi została wąska nić leśnej ścieżyny. Obita w purpurę kareta pędziła jak po ogień, wiozła bowiem ważnego gościa.

Gość ów siedział pogrążony w zadumie i wpatrywał się w przemijający krajobraz za oknem. Wciąż dziwował się, widząc po raz pierwszy tak piękne miejsce. Jasnym było, że tak dbać o ogród nie mógł nawet najwspanialszy ogrodnik.

Drzewa, które wyciągały swe gałęzie musiały dotykać samego nieba, tak były wysokie, nawet wyższe od obłoków, ginących między ich koronami. Giętkie łodygi oplatały się wzajemnie, tworząc niesamowite wzory. Przepływały obok pojazdu i patrząc w oczy gościa, przybierały tak różne postacie, by zadziwić go jeszcze bardziej.

Liście miały kolor srebrnej zieleni, błyszczącej w promieniach zniżającego się słońca. Przeświecało ono między wysokimi pniami, wesoło skacząc po korze i mknąc do srebrnych liści. Promyki rozświetlały każdą ich pojedynczą żyłkę, niosły ze sobą magię natury.

Gość spojrzał na gościniec. W ich stronę biegła złota łania o sierści skrzęcej się bardziej od słońca. Pobiegnęła w stronę lśniącego pałacu.

Już z tej odległości można było dostrzec mnogie kwiaty i krzewy, których nikomu nigdy nie udało się sklasyfikować. Ginące w powodzi kolorów, lśniące każdym najmniejszym refleksem, załamaniem barw, urzekaly od pierwszej chwili. Samo ich miejsce również było zaplanowane. Stworzono z nich ciągnące się bez końca dywany roślin, przeplatające się odcieniami wzdłuż ogrodów przypałacowych.

Wjechali na aleję posągów. Białe marmurowe kształty przedstawiały istoty żyjące w dawnych czasach, gdy cały świat był zaczarowany, a wraz z nim każde istnienie. Postacie, kunsztownie rzeźbione, których włosy wity się jak rośliny, nosiły suknie o opływającym kształcie. Trzymały w rękach kwiaty lub małe kopie słonecznej tarczy. U ich stóp łasiły się miniaturowe zwierzęta - małe jelonki, lisy czy niedźwiedzie. Wiewiórki siedziały im na ramionach, dłonie posągów zanurzały się w sierści wilków lub ocelotów. Swym właścicielom wiernie towarzyszyły zastygłe w czasie wierzchowce z rozwianą grzywą i miłością w oczach.

Gdzieś, daleko, widniał brzeg jeziora, znikający za krawędzią pałacu z porcelany, który właśnie ukazywał się na horyzoncie. Strzelisty i smukły musiał dorównywać swą wysokością ogromnym leśnym drzewom. Na najwyższych wieżach rósł gęsty bluszcz, szczelnie otulający ich delikatną konstrukcję. Pewnym było, podobnie jak w lesie, że nie zbudował go żaden człowiek. Był zbyt ulotny i kruchy, by mógł istnieć jedynie dzięki pracy ludzkich ramion i umysłów. Witraże tańczące ze słońcem i przejrzyste szyby jak tafle wody stanowiły oprawę dla porcelanowych ścian.

Błysk tej porcelany sprawiał wrażenie, że po elewacji stale spływają strużki wody. Płaskorzeźby łagodnie spoglądały na jadących do dworu, kontrastując z ironicznie uśmiechniętymi gargulcami. Wiele było małych wieżyczek, wieńczących ozdobnie porcelanowy pałac, oraz wysokich wykuszy z oknami zasnutymi wzorami jakby ze szronu. Roślinne ornamenty również zdobiły ową budowlę, niosąc zapowiedź przepychu wewnątrz. Mimo mnogości ozdób z całości biła przede wszystkim harmonia.

Konie prowadzące karetę po tych wspaniałościach stanęły raptownie, a wraz z nimi zatrzymały się kolejne pojazdy ze służbą. Gość ostatni raz popatrzył przez okno, a wtedy na schodach wejściowych dostrzegł ulotny kształt, dziwnie drobny na tle ogromnego wejścia. Mrugnął raz jedynie, a kształt zniknął mu z oczu.

Stangret otworzył drzwi, skłaniając przed nim głowę i wskazał dłonią pałac.

Słońce niemal całkiem już zaszło, teraz to z wnętrza zamku wydobywało się światło, z sali prawego skrzydła. Już tutaj było słyszeć dźwięki skocznych melodii granych na zaczarowanych instrumentach i śpiew postaci w budynku.

Gość poprawił jasną atlasową koszulę i ruszył do dworu, każąc wnieść ze sobą bagaże. Postawił stopę na pierwszym stopniu, gdy wtem ją zobaczył.

Była piękniejsza niż zwykle. Odziana w jedwabną suknię do ziemi, rozwiewaną przez wieczorny wiatr, z włosami unoszącymi się falami wzdłuż miękkich rysów jej twarzy. Uniosła swe szczupłe jasne dłonie o długich palcach i odgarnęła żywe kasztanowe pasma, odsłaniając oczy niebieskie jak letnie niebo rozświetlone słońcem. Stała boso na kamiennych schodach, lecz one nie ziębiły jej ani trochę. Zdawało się, że wiatr porwie ją z sobą, nawet lekkim podmuchem zdolny ją unieść.

Uśmiechnęła się promiennie, olśniewając go swą urodą.

- Chodź. Długo już na ciebie czekają – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku.

Nie zwlekając długo, gość powędrował za piękną elfką, mijając porcelanowy portyk, jak dotknięty magią.

- Witaj na naszym dworze, Ferylu – dodała, przekraczając próg pałacu. – Nareszcie nastały te upragnione czasy, gdy bez strachu możesz zjawić się w moim kraju.

Prowadziła go po korytarzach bez końca, mijając wciąż nowe zakręty i nowe schodki. Wielki był to dwór, większy niż nawet można było sądzić z zewnątrz. Idąc, stale się przy tym rozglądała. Miało się wrażenie, że nawet jej wydłużone uszy lekko drgają co chwilę niespokojnie.

- Tak – odparł Feryl, wciąż oczarowany. – Myślałem, że nigdy nie nastąpi pokój między ludźmi a elfami, że już zawsze będziemy musieli spotykać się w nadgranicznych lasach, Kaliso.

Elfka zatrzymała się raptownie.

- Nie zapomnij tylko, że dziś łączą nas jedynie polityczne więzy. Musimy być ostrożni, nie zdradzić się przed nikim. Kto wie, co by się stało, gdyby...

Urwała. Podszedł do niej i pogłodził miękkie loki. Elfka obróciła się zwinnie i już mknęła dalej po korytarzach.

- Kaliso... – westchnął przelotnie i szedł dalej. Zamyślił się chwilę, rozglądając. – Gdzie podzieli się moi służący?

- Nie martw tym swego serca, przemierzają inne korytarze, by nikt nie mógł nam przeszkodzić.

- Kto i w czym miałby nam przeszkadzać? – zapytał zdziwiony.

- Ferylu, wiele, jak wiele nie wiesz, jak wiele nie zostało ci powiedziane. Musisz uważać. Wszyscy dziwią się, czemu nie pojawiłeś się tak długo i...

- Przecież to ojciec powiadomił mnie zbyt późno o wizycie na balu. Nie zdążyłem powrócić z odległych krain na czas...

Z odległych ziem podbitych, siłą zagarniętych przez człowieka.

- Wiem, ciii, wiem. Lecz jak myślisz – czy wzburzony niedawną wojną lud ma wciąż tyle samo ufności do władców? Elfy plotkują, słyszałam, o nas. I o ukrytych zamiarach. Znam wszystkie sekretne przejścia w pałacu i wiem, co spędza im sen z powiek.

Spojrzał na nią wyczekująco. W milczeniu.

Słysząc było ciche kroki, lekko odbijające się dalekim echem. Kroki lekkiego elfa, a obok niego ciężkie stąpanie ludzkich stóp.

- Mówią, że lada dzień ojciec przekaze mi tron, a ja podzielę go z tobą. Chcą bronić pełnej elfiej władzy za wszelką cenę, nie dopuścić do wspólnych rządów, uprzedzić wypadki. Ludzie pewnie myślą podobnie... Uważaj. Nawet w czasie pokoju nie jest bezpiecznie, to tylko zwykła uśpiona wojna, pamiętna krzywd i przewinień. – Rzuciła mu spojrzenie przez ramię. – Uważaj. Dziś nie możesz wierzyć nikomu.

Feryl przewrócił oczami. Wojny nie ma od wielu miesięcy, od dawna nie wyczuwa się napięć po żadnej ze stron, nareszcie zapanował pokój, taki na wiele pokoleń, wie się chyba takie rzeczy jako następca tronu, gdy jeździ się po świecie i słucha głosu ludu. I wysłuchuje meldunków wywiadu. Teraz będzie już tylko lepiej... Elfy jednak zawsze mają skłonności do dramaturgii.

- Nikomu? – Po prawie pustym korytarzu, tajnym, znanym tylko królewskiej rodzinie elfów, poniosł się głos pełen ironii. – Nawet tobie, Kaliso?

Obróciła się raptownie, niemal wpadając na Feryla. Jej piękne oblicze zmarszczyło się na krótką chwilę, niebo w jej oczach nosiło oznaki nadchodzącej burzy.

- Nawet mi.

Do sali balowej weszli zdecydowanie później niż zabraloby im zwykłe przejście. Sala ta była najdosłowniejsza ze wszystkiego, co dzisiaj zobaczył. Lustra na każdej ze ścian odbijały sunące w typowym dworskim tańcu postacie. Kryształowe zwisały ze sklepienia sufitu, na którym wymalowano sceny z odległej historii. Tutaj nawet w lustrach można było odszukać stare opowieści, w lustrach – magicznych kronikach przechowujących wspomnienia dawnych balów. Srebro zdobiło ściany i stoły, było głównym kolorem goszczącym na szatach elfów. Lustra, kryształowe i srebro nadawały poważny klimat tej cudnej komnacie.

Tańczono. Grano. Śpiewano. Pięknie przystrojone nimfy w powłóczystych szatach roznosiły napary z ziół przyprawione magią i zabawiały gości.

Elfy i ludzie pogrążeni w rozmowie nie dostrzegali wejścia tych ważnych postaci, niektórzy z obecnych skłaniali głowy z oddali i wtedy rozmowy zaczynały przycichać.

Kalisa zbliżyła się do siedzącego na tronie ze splecionych gałęzi srebrnych cyprysów ojca. Stała za nim i lekko się nachylając, szeptała o przybyciu wyczekiwanego gościa. Obok Driadosa, na drugim tronie siedział inny król o długich włosach i podejrzliwym spojrzeniu, król Masos.

Król Driados podniósł się z siedziska. W tym momencie muzyka ustała, podobnie jak wszelkie najmniejsze szmery. Goście zamarli w oczekiwaniu na słowa króla, pochylając głowy. Po błyszczącym dywanie do tronu władcy zbliżał się Feryl w unizonej postawie wraz ze służącymi, którzy nie wiadomo skąd pojawili się tuż za nim. Potoczył Driados spojrzeniem po zebranych i przemówił cicho, a jednocześnie donośnie:

- Witaj, orędowniku pokoju, zacny księżę Ferylu. Miło nam gościć cię dziś w naszym domu – w świecie bez waśni. – Driados skłonił szybko głowę. Księżę klęknął.

- Gospodarzu, przyjmij podarki, które wiozę z odległego wschodu. Złote misy, zdobione rubinami, kielichy również ze szczerego złota i arras szyty najpiękniejszymi niciami. Nasze szwaczki miesiącami wybierały idealne włosia i wplatały je w te wspaniałe sceny.

Księżę pokazał na powoli rozwijany przez służących materiał. Pozostałe dary leżały złożone u stóp króla. Siedzący obok władcy elfów mężczyzna, powiedział bezgłośnie: „Witaj, synu”.

Driados przybrawszy pogodne oblicze, dodał:

- Dziękujemy, mości księżę. Pij i baw się z nami. Leśnych Misteriów już czas!

Na te słowa piszczałki znowu ruszyły w dłoń i po sali poniosła się radosna muzyka. Zebrani znów skupili się na skocznych płaszcach. Feryl zbliżył się do tronu Driadosa i zapytał:

- Wielki królu, czy pozwolisz mi zatańczyć ten pierwszy taniec z twą piękną córką?

Masos tylko się przyglądał. Zmierzył Feryla spojrzeniem sędziwy Driados i odparł:

- Masz moją zgodę. Na przypiecztowanie pokoju.

- Wiesz, że na nas patrzą?- wyszeptwała, gdy zbliżali się do siebie w tańcu. Taki prosty, a ile treści w sobie kryje. Krok do siebie, od siebie i wspólny obrót w koło z wyciągniętymi do siebie dłońmi. – Wyborne tańczysz, księżę – powiedziała głośnie.

- Jesteś wspaniałą partnerką, księżniczko. Bez ciebie nie byłbym w stanie zrobić jednego kroku. – Spojrzał na inne pary i przy kolejnym zetknięciu dodał: – Wiesz, że nas słuchają?

Uśmiechnęła się porozumiewawczo. Tańcz, mówiły jej oczy, tańcz, być może to wszystko, co zostało nam dane w tym nudnym, królewskim życiu.

Większość obecnych na sali gości zgromadziła się na parkiecie. Płynęły niczym fale spokojnego morza długie suknie elfich dziewcząt, mieniące się srebrem, przemykały zwinne postacie elfów. Ludzie także brali udział w zabawie, lecz nieważne, jak by się starali, nigdy nie udałoby się im zachowywać z podobną gracją.

Zabrzmiały ostatnie akordy granej piosenki i Kalisa nachyliła się do księcia.

- Chodź, przejdziemy się w inne miejsce. – Dotknęła szybkim ruchem swej głowy. – Księżę, zmęczył mnie ten taniec, pozwól złapać mi oddech.

Feryl skinął głową i przemknął, między otaczającymi postaciami, za elfką. Niektórzy rozstępowali się, gdy mknęli, niektórych musieli gromić wzrokiem. Tak doszli do posrebrzanej ramy okna wychodzącego na resztę przypałacowych ogrodów. Z prawego skrzydła rozciągał się widok na tonące w mroku jezioro. Gdzieś tam błyskało małe światełko świetlików unoszących się w powietrzu, lecz nie dawało ono zbyt wiele światła.

- Myślisz, że mamy chwilę dla siebie?

- Pewnie minie chwila, nim zorientują się, że odeszliśmy. Pokażesz mi ogród, wyjście na taras już blisko...

- Nie, tego nie mogę zrobić. Mówiłam, nie dawaj ludowi powodów do niepokoju.

Księżę zmarszczył czoło.

- Nie myślmy o niczym innym. Radujmy serca, że udało się nam dziś spotkać, że przetańczyliśmy prawie cały wieczór, że nic nam nie przerwało tego szczęścia...

- Tak, a obiecałem twemu ojcu tylko jeden taniec. Domyśla się?

- Popatrz na niego. Nawet nas nie dostrzega.

Jak jeden mąż przyjrzeni się Driadowski. Spoglądał na pewną nimfę, stojącą przy wyjściu na taras. Zdawało się, że nawet król Masos przysnął, znużony.

- Kim jest ta nimfa? – zapytał zdziwiony nadmiernym zainteresowaniem króla Feryl.

- Ona nie jest nimfą, obyś nie musiał się dowiedzieć, kim jest naprawdę – odparła i zamknęła temat. Wyrzała przez otwarte okno. Wiatr orzeźwił ich nagle, rozwiął włosy. Poruszyła niespokojnie uszami. Feryl jeszcze bardziej wyciągnął szyję w stronę jeziora.

- Słyszysz? Ktoś śpiewa? – Szukał źródła dźwięku.

- Nie, to bardziej płacz niż śpiew. Ale bardzo piękny. Przerażliwie smutny...

- Myślałem, że wszyscy są w pałacu.

- Owszem, są, Ferylu. To żaden z naszych gości. – Ponownie zastrzygła uszami.

- To z pewnością lament, nie pieśń.

Spojrzała w ciemność. Pewnie widziała więcej w leśnej otchłani niż ludzki księżę. Zatrzymała wzrok w jednym miejscu. Całkiem niedaleko od brzegu, po pas w wodzie stała biała postać. Nie była to ani nimfa, ani elf. Jej postrzępiona szata unosiła się wokół po powierzchni wody. Odznaczała się zdecydowanie na tle czarnej toni. Ubrana była w biały luźny strój, miała jasne włosy, tak długie, że płynęły również daleko za jej postacią. W ręce dzierżyła srebrny grzebień, którym czesała gęste włosy. Równocześnie zawodziła z cicha, pogrążona w wykonywaniu swej pracy. Echo nieszczęśliwego płaczu niesło się po całym ogrodzie.

- Stoi tam. Widzisz? – Księżę pokręcił głową, nie mogąc nikogo wypatrzyć. – Stoi w wodzie w srebrzystej sukni.

- Jest zbyt ciemno, Kaliso. Wierzę ci na słowo. To na pewno nie elfka? Wszystkie mają tu srebrne stroje.

- Nie, ona jest... jakby... mglista. To chyba zjawa.

Biała postać przestała wplatać grzebyki we włosy. Zanurzyła ręce w jeziorze i wyciągnęła z niego chusteczkę. Moczyła ją i wyciągała – gest ten przypominał pranie. Wyglądała jak biała dama nawiedzająca starą posiadłość, duch, który wykonuje po śmierci stale tę samą czynność. Kalisa przyjrzała się chusteczce. Serce zabiło jej mocniej.

Na chustce tej były wyhaftowane jej inicjały wraz z elfim herbem.

W jednej chwili pojęła, dlaczego Feryl nie był w stanie dostrzec zjawy nad wodą, dlaczego jedynie słyszał jej głos. Ten zwiastun śmierci ukazywał się tylko osobom, które miały niebawem umrzeć. Sam ich płacz prorokował śmierć kogoś bliskiego.

Utkwiła w Ferylu żarzące się oczy, to niebo w nich teraz płonęło.

- Słyszałeś kiedyś o banshee?

Pytanie to zawisło w cięższym nieco powietrzu.

Nagle płacz zabrzmiał głośniejsze i dołączyła do niego większa liczba głosów. Kalisa nie widziała już wyłaniających się z mroku jeziora innych białych postaci, niektórych z grzebieniami w dłoniach, innych z materiałami różnej wielkości i koloru. One przeznaczone były dla oczu innych osób.

Za ich pleców dobiegło lekkie chrząknięcie.

- Proszę wybaczyć zwykłemu służącemu to niepokojenie, mości państwo, lecz król Driadowski posyła mnie z kielichami. Zaraz wzniesie toast.

Rozmowy ponownie ucichły. Spokojna muzyka brzmiała z końca sali, grano powolną balladę, rodem z krain celtyckich. Oczy obracały się w stronę królów i dzieci królewskich. Wszyscy stali, trzymając duże puchary, ludzie silnie, elfy z wrodzoną delikatnością.

Feryl podniósł kielich z tacy służącego i przy uwadze audytorium podał go Kalisie. Skinęła głową na znak podziękowania i jak wszyscy czekała na toast. Drugi kielich trafił do rąk młodego księcia. Pozostałe złożone kielichy ze wschodu dzierżyli Driadowski i Masos.

- Miłym jest mi, że mogę dziś widzieć was wszystkich razem, was, elfie dzieci i was, potomkowie ludzi. Czas pokaże, co przyniesie nam to spotkanie, przełomowe w historii. Ujmijmy więc te kielichy w dłoń i wypijmy za szczęście nowych pokoleń zgodzonych z sobą po wsze czasy. Niech wspólne wypicie z podarowanych pucharów przypieczętuje świętność dzisiejszych Misteriów.

Król Driados zakończył swą kwiecistą przemowę i skierował wzrok na drugiego króla. Masos uniósł kielich w górę i dodał:

- Niech będzie tak, jak powiada król!

Zabrzącały puchary królów, stykając się z sobą podczas toastu. Na jedną krótką chwilę zebrani unieśli jeszcze swoje kielichy i wypili. Prawie równocześnie. Pierwszy Masos, Driados, potem Feryl i Kalisa, a po nich cała sala.

Spokój przerwał dźwięk spadającego kielicha. Resztką czerwonego wina wylała się na podłogę, kielich potoczył po posadzce. Jedna dłoń powędrowała do krtani, postać cicho zakaszła, bledsza niż wcześniej osunęła się, idąc w ślady kielicha. Tuż przed upadkiem Feryl pochwycił wąż ciała Kalisy.

Powstało zamieszanie, zaczęły podnosić się poszczególne głosy. Zawrzało.

- Co tu się dzieje? – zagrzmiał sędziwy Driados, ze zmartwieniem patrząc na postać kruchej córki w ramionach tego barbarzyńskiego księcia. – Łapać zdrajcę!

Inne ręce przejęły Kalisę, drugie złapały Feryla. Elfie dłonie trzymały o wiele mocniej niż mogłoby się wydawać. Liny z giętkich łądyg oplatały nadgarstki księcia.

Driados patrzył nieprzeniknionymi oczyma na Masosa. Harmider przerwał śmiech.

Upiorny śmiech króla Masosa pełził po sali. Znów zrobiło się cicho. Służący kłębili się przy księżniczce, próbując udzielić jej pomocy, lecz na chwilę też unieśli głowy. Masos śmiał się dalej, nieomal zginając się w pół.

- Nie sądziłem, naprawdę nie sądziłem, że pójdzie tak łatwo – wydusił z siebie między jednym a drugim oddechem. Zobaczył, że w dłoni elfa trzymającego syna błyska srebrny nóż. – Nie kłopotz się, drogi elfie, sam mogę dopełnić twój obowiązek. Eliminacja szpiegów zawsze sprawia niesamowitą satysfakcję. Wiesz, o czym mówię, prawda, synu? Szkoda, że nie zapytamy teraz również księżniczki.

Sędziwy Driados zmagał się z bólem. Cierpienie wykrzywiło królewską twarz. Głębokimi jak pałacowa studnia oczyma patrzył na córkę, bez przerwy.

- Dlaczego przeszkadzał ci nasz pokój, Masosie? Dlaczego tak bardzo umiłowałeś wojnę? Dlaczego krzywdzisz niewinnych, takich jak moja córka?

- Driadosie, porzućmy ten patos. Taka mała dygresja – naprawdę muszę przypominać ci, kto rozpoczął tę wojnę? Kto nigdy jej nie skończył? I kto zasługuje na miano niewinności? Myślisz, że nie wiedziałem o planach zamachu na Feryla? Ależ tak, wiedziałem, tylko widzisz, lubię ubiegać fakty. Wysłałem agentów, którzy śledzili następcę, którzy przemykali wraz z nim po tajnych korytarzach twego pałacu, prowadzeni przez twoją córkę, ostrzegani przez nią o możliwej pułapce. Swoją drogą, podobno nietęgę kosztowności trzymasz w tamtych komnatach. Tylko widzisz, pułapka wcale nie była możliwa, ona była pewna. Księżniczka tylko podstawiła ci ofiarę, ale niestety nie udało się tak od razu, zabito w tych pięknych komnatach tego, który z dala od widzów, niby przed przyjazdem księcia, miał się go pozbyć. Nie jest lekki chleb tajniaka, raz pomagasz zniknąć komuś, raz znikasz sam.

Masos nadal uśmiechał się promiennie, bawiła go ta konsternacja otoczenia. Nikt nie śmiał się odezwać ani poruszyć. Zupełnie jak gdyby to Driados przemawiał, prawdziwy król zasługujący na posłuch.

Feryl wyglądał jakby jego świat rozsypał się nagle na tak małe kawałki, że nie dało się ich samodzielnie poskładać w jedną całość. Miotał się, rzucał spojrzeniami to na ojca, Driadosa, na leżącą bez życia księżniczkę. Czuł się oszukany, wykorzystany. Wszystko przez to, że los zrobił go księciem. A on chciał tylko jedynej miłości.

- Tak więc chciałem, żeby wyszło na moje. Odstąpienie wam mego syna byłoby zbyt proste, ale wiedziałem, że spróbujecie znowu. Należało się rozglądnać nieco, w najbliższym otoczeniu. I tu masz swoje pytanie, dlaczego zatrute wino? Odpowiedź: To nie był mój pomysł, to ten napój, którym sam chciałeś nas poczęstować.

Driados patrzył obojętnie na chełpiącego się swą uwagą króla. Nie reagował.

- Nie wydawałem rozkazów otrucia moich gości. To nie moja specjalizacja. Niektórzy zniżają się do kręctw, będąc gośćmi.

- No dobra, nie do końca było, jak mówię. Przechowywałeś wino na nadarzącą się okazję, gdyby coś nie poszło. A ja skorzystałem z niej. Szkoda by było ją zmarnować. Zresztą, po co ryzykować moment toastu? Może nagle coś by ci się odmieniło i zamiast czatować na Feryla, obróciłbyś się przeciwko mnie? Nikt nie lubi szpiegów, ale osób niebezpiecznych nawet bardziej...

- Wymów już swe ostatnie słowa, bym teraz mógł wydać właściwe rozkazy. Drogo kosztuje mnie nauka, że ludziom nie można pobiłać. Ani ufać.

- Nikomu nie można już ufać. Własnym dzieciom ni sojusznikom. Ale tak, zbliżam się do puenty. Cóż więc zrobiłem? Powiedziałem, pozamieniałem kielichy, trochę jakby dodałem... nieco magicznych aspektów. Swoją drogą, ktoś mógłby już uwolnić nimfy, twe piękne służki, bo jeszcze kochanym biedaczkom powbijają się szorstkie rzemienie w nadgarstki... Straszne by to było, zważywszy na fakt, że nie tak trudno było się dostać do pucharów. Zaczarowałem jeden kielich i dobrze go ustawiłem na tacy. Pewnie dziwi cię, że mówię o sobie, a cały czas siedziałem obok ciebie. Widzisz, Driadzie, gdy ma się nadludzkiego przeciwnika, samym też trzeba się stać nadludzkim. Od czasu wybuchu wojny uczę się u druidów. Znam trochę przepisów na ziółka, nieco użytecznych zaklęć, lecz, co najważniejsze, opanowałem telepatię.

Powstało kolejne poruszenie. Ludzie zaczęli szeptać, przestając zwracać uwagę na próżnego króla. Cała uwaga skupiła się na księżniczce Kalisie. Zbyt osłabiona by wstać, powoli mrugała oczami, szary kolor schodził jej z twarzy. Oczy półzamknięte z powodu rażącego światła świec wokół siebie obracała na spętanego Feryla i zmienionego ojca. Driados przysiadł na tronie, jakby jego stare nogi nie mogły znieść już tak długiego stania.

Skonsternowani goście znów spojrzeli na królów.

- Driadzie, widzę, że nieuważnie słuchasz moich słów. Więc powtórzę: znam się na zielarstwie i na magii. Zaczarowałem jeden kielich. – Zrobił znaczącą pauzę. – Dobrze zamaskowałem magiczny posmak, nie sądzisz?

- Łapać go, łapać zdrajcę pokoju, puścić księcia! – zagrział Driados głosem tak donośnym, że kryształ w żyrandolach zatrząsł się dźwięcznie, parę spadło na posadzkę i rozbiło się w drobny mak. Zachybotwały się szyby w oknach zdobionych szronem. Zadrżała tafla i przysła jak bańka mydlana. Takiego króla dworzanie nigdy nie widzieli, nawet w czasie najokrutniejszej wojny. – Nie pozwolić nikomu opuścić pałacu, zdrajcy przede wszystkim!

Powiedziawszy te słowa, Driados ciężko osadził się na tronie, szybciej oddychając. Zacisnął pięści na siedzeniu. Z jego twarzy powoli odpływało życie. Nogi zaczęły cierpnąć.

Pięknym zazwyczaj elfom uszy wydłużyły się jeszcze bardziej, nadając twarzy mrozący krew w żyłach, nieludzki wygląd. Jasne tęczęwki pociemniały na kolor ciemnego granatu, prawie czarnego, przerażające cienie pojawiły się wokół oczu. Wykrzywione w złym uśmiechu usta, drwiące spojrzenie, długie, nagle wyrosnięte paznokcie, napawały strachem obecnych ludzi. Elfy bywają mściwe, teraz były jak nagła zmiana pogody podczas srogiej burzy.

Masos błyskawicznie przybrał niewidzialność i uskoczył w podcień sali, właśnie wtedy, gdy spod sklepienia niewidzialni wojownicy zaczęli posyłać śmiercionośne strzały. Prawdą jest, że nie ma sprawniejszych łuczników od elfów. Z wielu, wielu metrów potrafią ustrzelić przeciwnika, nigdy nie pudując. Cóż znaczy dla nich garstka słabych ludzi na zamkniętej przestrzeni...

Strzały spadały prosto między ludzi, płonąc w locie. Ze świstem wtapiały się w ich ciała, przy wtórze krzyków. Nie były to jednak odgłosy bólu, którego z pewnością nie brakowało postrzelonym. Sprawa miała się w tym, że strzały były zaczarowane. Elfy pragnące krzywdy oszustów napinali na łuki strzały strachu.

To majaki senne, złudne miraże były przyczyną okrutnej śmierci trafionych. Umierali ze strachu przed tym, co kryło się głęboko w ich sercach. Padali na ziemię z obłądnym

wrzaskiem, biegali wokół, wymachując rękami, rzucali się na własnych towarzyszy i inne elfy. Czarne elfy pomagały skrytym w górze łucznikom, dopełniając zadania. Gdy uznawali, że czas skończyć ich krzyki, przebijali ludzi srebrzystymi sztyletami.

Ale ludzie nie byli bezbronni. Nie, ci, którzy uchronili się przed spadającymi strzałami, równie walczyli z elfami w walce wręcz. A nie była to łatwa walka.

Masos obserwował wszystko z boku.

Widział przemianę elfów, grad strzał niemal z nieba, uwolnione nimfy uciekające przez rozbite okna, prosto do ogrodu, schować się w bezpiecznym lesie, w azylu natury. Potem też je znajdzie i zabije, ale wszystko po kolei, spokojnie. Przez tłum dostrzegał Kalisę z Ferylem. Chłopak próbował pomóc jej wstać, wskazywał ręką okno. Krzyczała, kręciła głową, w pewnym momencie z pola widzenia zniknął mu sam Feryl. Sędziwy Driados nie obserwował bitwy, siedział jakby przyklejony do swego tronu. Nogi miał wbite w ziemię, niezdolny do ich poruszenia. Jego skóra powoli przybierała odcień szarego brązu. Masos wiedział dobrze, co to oznacza. Driados zamieniał się w drzewo i usychał jak roślina bez wody, której stare gałęzie stają się zdrewniałe. Błogosławiony kielich załatwił całą sprawę.

Niektóre elfy walczyły zaciekle, inne, niezmięte, lekkie jak mgła biegły w stronę ogrodu, a tam nad brzegiem jeziora zamieniały się w wysmukłe drzewa. Pełne jednak i zdrowe, nie prawie zmartwiały jak ciało króla Driadosa. W przekonaniu o bliskiej śmierci było to najlepsze rozwiązanie.

Widział Masos przedśmiertelny taniec poddanych, który jednak nie wywoływał w nim litości. Nie przewidział podstępów z zakłętymi strzałami, jednak łuczników był pewien. Dlatego przygotował się na tę okoliczność.

Wyjął z kieszeni krótką piszczałkę i potarł w zamyśleniu. Dużo ludzi jeszcze broniło się przed strzałami, miał jeszcze trochę czasu. Zrezygnował z niewidzialności. Tak było o wiele ciekawiej.

Niespełniony do końca, podszedł do Driadosa, jako ostateczny triumfator.

- Uciekaj, chroń życie, nie słyszysz, co mówię? – powtórzyła znowu Kalisa. Nie miała już siły walczyć z Ferylem. Była zmęczona.

- Nie pójdę bez ciebie. Chodź, pomogę ci, wyskoczmy przez okno.

- Nie opuszczę swojego ludu. Zawsze zostaje się ze swoimi do końca.

- Nie możesz już im pomóc, nie w twoim stanie. Chodź, proszę – załamał mu się głos.

- Wybacz mi, wybacz, że brałam udział w tych niecnym zamiarach elfów...

- Nie, teraz nie jest to ważne. Liczy się, że cudem udało ci się przeżyć, należy z tego korzystać. Mamy szansę. Wszyscy są zajęci – przerwał szybko Feryl.

- Wybacz mi – ciągnęła niezrażona. – Ale wiedz, że robiłam to, co musiałam. Nie mogłam odmówić. Lecz gdyby doszło do czegokolwiek, obroniłabym cię, choćbym i sama miała zginąć. - Utkwiła w nim swe piękne, choć smutne, błękitne oczęta i zajrzała głęboko. – Dlatego musisz wybaczyć mi i teraz, lecz robię to, co muszę. Choćbym i sama miała zginąć.

Nagle księżę poczuł, że nie znajduje się już w pałacu, że jakimś dziwnym sposobem znalazł się tuż za oknem. Nadal widział wpatrzony w niego oczy elfiej królowej. Smutne było ich nieme pożegnanie. Gdzieś w oddali słyszało się rozpaczliwy lament banshee, teraz lepiej słyszalny przez rozbite szyby. Głos niósł się nie tylko po całym ogrodzie, lecz i częściowo w pałacu. Napawał on strachem, ale i spokojem. W tym momencie pewnie wiele postaci uświadamiało sobie znaczenie prorokiń śmierci, lecz mimo wszystko walczyli jeszcze zacieklej. Głosy banshee niosły im otuchę o spełnieniu przeznaczenia.

Feryl poczuł, że oplatają go wyrosłe spod ziemi mocne pędy i uniemożliwiają dalsze ruchy. Powoli, od stóp, zaciskały się wokół jego ciała, a on patrzył tylko na Kalisę, która słabła w oczach. Ledwie unosiła się na łokciach. Kosztem własnego życia, podarowała mu najbezpieczniejszy żywot, w tym świętym lesie. Posłała mu z daleka ostatni pocałunek.

Zrozumiał. Zamknął oczy. Konary drzewa, jego nowego domu, zamknęły się nad nim szczelnie.

- Jakie to uczucie, żyć tyle tysięcy lat, być, sporą część tego, królem i nie zorientować się tak długo? Doprawdy, zadziwiasz mnie, Driadosie.

- Skąd twój mały umysł może wiedzieć, czy się nie zorientowałem? Czy myślisz, że nie podbiegłbym do córki, gdybym nie miał pewności, że dane mi będzie się z nią pożegnać? Myślisz, że nie wiem, co się dzieje w moim własnym pałacu, który każdym listkiem oplatającego bluszczu jest ze mną powiązany?

Masos zmieszał się na chwilę tak krótką, że gdyby Driados nie był najstarszym z elfów, mógłby nie poznać tej zmiany. Nachylił się Masos do umierającego króla, bo głos jego słabł w otaczającym hałasie bitwy – odgłosów ludzi, elfów i broni.

- Masosie, dla wyższych celów należy ponosić ofiary. Taka jest właśnie moja śmierć. A teraz słuchaj, wysłannik natury przekaże ci jej przepowiednię – powiedział cicho Driados i na poły zdrętwiałą ręką złapał za przegub Masosa. Próbował się wyrwać z uścisku, lecz król elfów trzymał mocno. – Będziesz nosił piętno wojen i cierpienia aż po kres świata, a wraz z tobą twój lud. Do dnia aż natura zdejmie z was tę klątwę, lecz stanie się to dopiero w tym świętym lesie, do którego ludzkość nie będzie miała wstępu przez długie milenia. Zginiesz dziś, razem z całym dworem, bowiem od teraz nosisz w sobie piętno zniszczenia.

Ramię Masosa rozjarzyło się krótką chwilę. Na przegubie wykwitły skomplikowane wzory roślinne, które ścisnęły go mocno. Czarne linie nie chciały zniknąć.

- Jeden twój służący zdoła ująć z kraju elfów i założy na nowo wasz ród, lecz od tego dnia rządzić wami będą głupcy i sami tacy pozostaniecie. Nie będzie już szczęścia dla ludzi na tym świecie. Potomkowie zdrajców będą przez wieczność ponosić tę karę.

Sędziwy król puścił ramię człowieka.

- Nie wiesz, co znaczy zdrzeć z siłami natury, Masosie. Ale się dowiesz.

Król zapomniał jakby o ludzkim władcy stojący obok, podniósł wzrok i spojrzał na córkę. Tuż za nią wyrastało piękne, młode drzewo. Driados dobrze wiedział, co dzieje się w jego pałacu. Przez cały czas. Popatrzyli na siebie i skinąwszy głowami, zamknęli oczy. Tron Driadosa przewrócił się razem ze starym władcą.

Odeszli na zawsze. Szczęśliwie, zanim w porcelanowym pałacu zaczęło się piekło.

Rozjuszony Masos wyciągnął flet i zagrał. Zbyt długo trwała już ta walka, zbyt wiele czasu zmarnował i zbyt wiele ludzi stracił, teraz krążyły tylko ludzkie niedobitki. Należało raz na zawsze skończyć z tą elfią rasą, nie dać się przepowiedni.

Ostatni walczący ślizgali się w strugach świeżej krwi, potykali o ciała towarzyszy. Smutny był widok tej splamionej sali – niegdyś wspaniałej i radosnej.

Z fletu wydobyły się ostre metaliczne dźwięki, tnące powietrze. Deszcz strzał raptownie przestał padać, zrobiło się cicho. Chwilowo. Elfy i piękne elfki zginali się wpół, zasłaniając uszy. Ich ciemne oblicza odbijały wewnętrzny ból. Z gardeł dobywały się głuche jęki.

Daleki śpiew banshee zabrzmiał głośniejsz, nie był jednak w stanie zagłuszyć dźwięków fletu. Masos uśmiechał się zwycięsko i cały czas grał.

Elfy kucaly na podłodze, zwijając się rozpaczliwie. Zgubiły gdzieś dawną hardość.

Wtem przez otwarte okna lekko wskoczyły nimfy. Fałdy sukni burzył im wiatr, ponad drzewami widać było promienie jutrzeńki. Wschodzące słońce cięło niebo czerwonymi smugami. Nimfy nie wyglądały strasznie. Były piękne i delikatne jak zawsze, łagodne i opanowane, jednak blask zza okna dodawał im powagi i majestatu.

Masos skulił się w sobie, widząc te istoty, bowiem biła od nich nieziemskie siła. Pragnienie władzy i zemsty było silniejsze od strachu. Grał dalej. Nie przestawał ani na minutę.

Nimfy złapały się za ręce i śpiewając coś z cicha, utworzyły krąg.

Zdziwił się Masos, lecz nie przestawał grać. Choć jednego przeciwnika musiał się pozbyć. Jeszcze trochę i z bólu elfy zaczną umierać. Nagle grube, szerokie konary zaczęły wyrastać z ziemi i sięgać po władcę, pragnąc porwać leśnego świętokradcę. Zaciskając się wokół, wyciskały mu powietrze z płuc, przestał więc grać. Elfy powstały, by znów rzucić się

na ludzi. Nimfy śmiejąc się, biegały jeszcze szybciej w koło, co potęgowało zaciskanie się gałęzi drzew. Jeszcze trochę, troszeczkę...

Wybuchł pożar. To płonął sam Masos, znajdujący się na różnych czarach. Wolał śmierć niż wciągnięcie przez żywy las. Oplatające go gałęzie również zapłonęły. Płonęły, biegnąc po ziemi, zapalając wszystko to, co staowało im na drodze. Nie mogły umknąć im ani elfy, ani ludzie. Krzyczano. Nimfy pochwycone przez uciekające od płomieni drzewo topiły się w jego żarze. Płakały. Niewielu udało się uciec. Resztę strawił pożar.

Na krzesłach przy zastawionych stołach jak gdyby nigdy nic siadały białe banshee. Rude refleksy iskrzyły na ich jasnych szatach. Zjawy wyciągały z eteru srebrzyste grzebienie i zapatrzone w siebie wspólnie lamentowały. Czesanie ich włosów było dla płonących postaci ostatnim widokiem z tego świata. Nucili słodko jak dziecku do snu, jak śpiewną bajkę na wieczny sen. Dźwięk płynął czysto po komnacie, stanowiąc duet dla skwierczącej pożogi.

Języki magicznego ognia nie sięgały przedmiotów, nie zwęglił się ani dywan, ani tron, ławy i stoły pozostały tam, gdzie stały. Kryształowy żyrandol odbijał czerwony błysk płomieni. Ogień barwił karminem wschodzące słońce. Strwożona widokiem i blaskiem gwiazda odeszła raz na zawsze z elfiego gaju, świecąc jak przez gęstą mgłę. Pałac ogarniała czerwień, lecz trwał nieporuszony. Ogień wypalał wszystko, co sprawiało, że żył, magię i żyjące w nim istoty.

Lizał ciała króla i jego córki, Masos też niemal całkiem już spopieliał w jego sile.

I tak wymarł pałac, który teraz jest tylko echem zamierzchłych dni.

Cmentarzyskiem istnień i pogrzebanych uczuć.

Świętością ciszy.

M.J.